

Uwagi tłumacza

Przełożenie tej fascynującej książki na język polski nie było łatwe. Pozornie wydawało się, że trudność sprawi rozbieżność terminologii, do której autor przywiązuje wielką wagę. Przy bliższym zapoznaniu się z tekstem okazało się jednak, że jeszcze istotniejszą kwestią są w tym przypadku różnice kulturowe. Filozofia życiowa amerykańskiej klasy średniej, w tym stosunek do problemu używania narkotyków, opiera się na fundamentalnym protestanckim założeniu, że przyjemność dla przyjemności jest sprawą moralnie podejrzaną, a nadmierna pogoń za radościami życia jest postawą w zasadzie grzeszną, bo powoduje zaniedbania obowiązków prawdziwego chrześcijanina. Stąd surowe potępienie używania wszelkich substancji poprawiających nastrój lub pozwalających odechnąć od szarżyzny dnia codziennego. Oczywiście w tak olbrzymim i tak różnorodnym kraju, jakim są Stany Zjednoczone, można spotkać poglądy skrajnie różne – poczynając od baptystów, uważających za grzech picie piwa, czy mormonów, niedopuszczających spożywania nawet kawy i herbaty (ale za to uznających kiedyś, a nawet praktykujących czasem do dziś wielożeństwo), kończąc na środowiskach hedonistycznych, akceptujących promiskuityzm i stosujących nagminnie substancje zmieniające świadomość, czego wybuch w postaci rewolucji hippisów obserwowaliśmy pół wieku temu. Jak zauważa w *Odurzonych* Richard Davenport-Hines, Amerykanie z jednej strony mają skłonność do imperializmu moralnego, narzucania całemu światu własnych norm kulturowych, bez zwracania uwagi na to, że niszczą tkankę społeczną innych wielkich narodów, nieuznających prymatu zachodnich norm moralnych, z drugiej przejawiają tendencję do przesadnej poprawności politycznej, lęku przed użyciem słów niewłaściwych, obraźliwych i stygmatyzujących, choć często w zasadzie neutralnych – i jest to przyczyną bardzo niespójnych niejednokrotnie zachowań. I jeszcze jedno: w odróżnieniu od postaw wynikających z kultury opartej na katolicyzmie, gdzie przywiązuje się ogromną wagę do miłosierdzia i wybaczenia, fundamentalistyczne wyznania chrześcijańskie nie znają sakramentu

pokuty i błądzący nie może liczyć na odpuszczenie grzechów nawet po upływie dziesiątków lat. Ten sposób myślenia, zgodny zresztą ze starotestamentowym ujęciem problemu grzechu i winy, dominuje w amerykańskim prawie i poglądach społecznych.

Takie fundamentalistyczne postawy wpłynęły na stosunek Amerykanów do narkotyków. Wypowiedziana przez prezydenta Nixona w 1969 roku „war on drugs” przyniosła chyba więcej szkody niż pożytku i nawet większość państw zrzeszonych w ONZ zaczyna dostrzegać, że w walce tej nagminnie łamie się prawa człowieka. Powstaje zatem pytanie, czy opłaca się skórka za wyprawkę. W każdym razie w maju 2009 roku administracja prezydenta Obamy oficjalnie zarzuciła wojowniczy język kampanii antynarkotykowej, zmieniając również jej nazwę.

Wróćmy do tłumaczenia. Erickson jest naukowcem i praktykiem uważającym narkomanię za zło, ale w odróżnieniu od wielu wrogów narkotyków to człowiek pełen empatii, starający się nieść pomoc ofiarom nałogu. W książce zwraca więc baczną uwagę na język, pisząc tak, aby nie był on stygmatyzujący, poniżający i pogardliwy. W tym miejscu zaczyna się jednak kłopot z tłumaczeniem. Już sam tytuł jest problematyczny: *addiction* – termin w języku angielskim o zdecydowanie negatywnym wydźwięku – może być tłumaczony na dwa sposoby: jako „uzależnienie” lub „nałóg”, przy czym słowa te mają nieco odmienne zabarwienie emocjonalne. Zatem *Science of Addiction* to nauka o nałogu czy o uzależnieniach? Mamy oczywiście do wyboru również słowo-potworek – „addyktologia”, ale nie uważam, aby było ono odpowiednie w kontekście tej książki, pisanej możliwie prostym językiem i takim językiem tłumaczonej. W zasadzie zdecydowałem się w przekładzie na bardziej neutralną wersję – „uzależnienie”, ale terminy te stosuję właściwie wymiennie.

Jakie jednak przyjąć słowo w języku polskim na określenie ofiary nałogu? *Addicted* w Ameryce ma bardzo silny wydźwięk pejoratywny. Polskie tłumaczenie – „uzależniony” nie jest tak negatywne. Dlatego w przekładzie będę używał tego słowa jedynie w stosunku do osoby chorej. Jeżeli jednak z kontekstu wynika, że celem autora było ostre potraktowanie ofiary nałogu, będę się uciekał do określenia „narkoman”.

Znacznie więcej kłopotów sprawia słowo *drug*. Oznacza ono zarówno „lek”, jak i „narkotyk”. W języku angielskim kojarzy się zazwyczaj negatywnie. W języku polskim „lek” ma konotacje pozytywne i – w odróżnieniu od angielskiego – nigdy nie oznacza substancji szkodliwych, a zwłaszcza uzależniających. Dlatego to kontekst decyduje, czy *drug* tłumaczę jako „lek”, czy jako „narkotyk”. *Drugged* nigdy nie określa się inaczej jak „odurzony” (chyba że „naćpany”, ale świadomie unikam slangu polskiej podkultury narkotykowej).

Słowo „narkotyk” również stwarza pewne problemy. We współczesnym języku polskim definiuje się je jako „substancja pochodzenia roślinnego, np. morfina, kokaina, lub otrzymywana syntetycznie, powodująca (zależnie od dawki) uspokojenie, euforię, zniesienie bólu, odurzenie, sen; nadużywana prowadzi do narkomanii” (*Słownik języka polskiego* PWN). Potocznie określa się nim substancje nielegalne i wtedy ma silne znaczenie pejoratywne. W tym właśnie sensie termin ten jest używany w przekładzie tej książki. Z punktu widzenia neurobiologa, uważającego narkotyki za substancje mogące powodować uzależnienie, definicję narkotyku spełniają także alkohol i nikotyna. Choć w ciągu ostatnich dziesięciu lat uznano wreszcie nikotynę za narkotyk, to jednak tym mianem ciągle się nie określa alkoholu. Przecież byłibyśmy wtedy zdecydowanie narodem narkomanów. Dlatego w przekładzie tej książki często pojawia się wyrażenie: „alkohol i inne narkotyki”, podkreślające jego – kulturowo – wyjątkowy status.

Kolejne kłopoty sprawiły słowa *abuse* i *abuser*. To pierwsze w języku angielskim ma więcej znaczeń niż polskich odpowiedników i ich wymowa jest zdecydowanie bardziej negatywna niż polskie „nadużycie”. Amerykańskie *abuser* może oznaczać grubianina, narkomana, a nawet zwyrodnialca. Tymczasem po polsku raczej nie powiemy o kimś, że jest „nadużywcem”, a rzeczownik „nadużycie” nie niesie tylu negatywnych konotacji, zwłaszcza w dziedzinie uzależnień. Używa się go w kontekście niewłaściwego czy przestępczego wykorzystania danej sytuacji, jak nadużycie władzy, prawa czy czyjegoś zaufania. Amerykański *abuser* bije żonę i gwałci pasierbicę. Polski „nadużywacz” to zazwyczaj naciągacz, czasem pijaczek, rzadko kiedy molestuje podwładnych. Erickson stara się unikać słowa *abuse* i tłumaczy dlaczego, ale niestety znajduje się ono w oficjalnym amerykańskim podręczniku psychiatrii DSM-IV (patrz przypis 1).

W niniejszym przekładzie zdecydowałem się na wprowadzenie niektórych terminów używanych w żargonie psychofarmakologów. Na przykład związki ogólnie obniżające aktywność układu nerwowego nazywam depresantami (ang. *depressants*), leki przeciwdepresyjne – antydepresantami. Postanowiłem też tłumaczyć *chemical dependence* (w przeciwieństwie od uzależnienia psychicznego, na przykład od hazardu, ale także od psychologicznych aspektów nadużywania narkotyku, skłaniających do jego zażywania jeszcze przed wystąpieniem *chemical dependence*) jako „uzależnienie chemiczne” zamiast poprawniejszego „uzależnienia od substancji”.

I na koniec: Erickson starał się pisać książkę nad wyraz przystępnie. Miał ją rozumieć każdy, kto sięga po narkotyki, i każdy, kto niesie tym ludziom pomoc. Aby zwrócić uwagę na to, że uzależnienie nie jest chorobą czysto psychiczną,

Erickson używa terminu „choroba medyczna” (*medical disease*). Brzmi to w języku polskim dziwnie, ale chyba dobrze oddaje intencje autora. Erickson, utrzymując w niniejszej pracy wysoki, ale przystępny standard popularyzatorski, czasami stosuje takie określenia i zwroty, przed którymi ja jako tłumacz wzdragam się, gdyż są niedopuszczalnym, moim zdaniem, uproszczeniem. Rozwiązuję to najczęściej za pomocą przypisów, mając nadzieję, że nie utrudni to zanedo odbioru tego znakomitego dzieła Ericksona.

Jerzy Vetulani